

Słownik pisarzy XX wieku

na podstawie tekstu Stanisława Bortnowskiego
z książki „Scenariusze półwariackie, czyli poezja współczesna w szkole”
(Warszawa: Wydawnictwo Stentor. 2002)

wszystkie użyte zdjęcia oparte na wolnej licencji Creative Commons



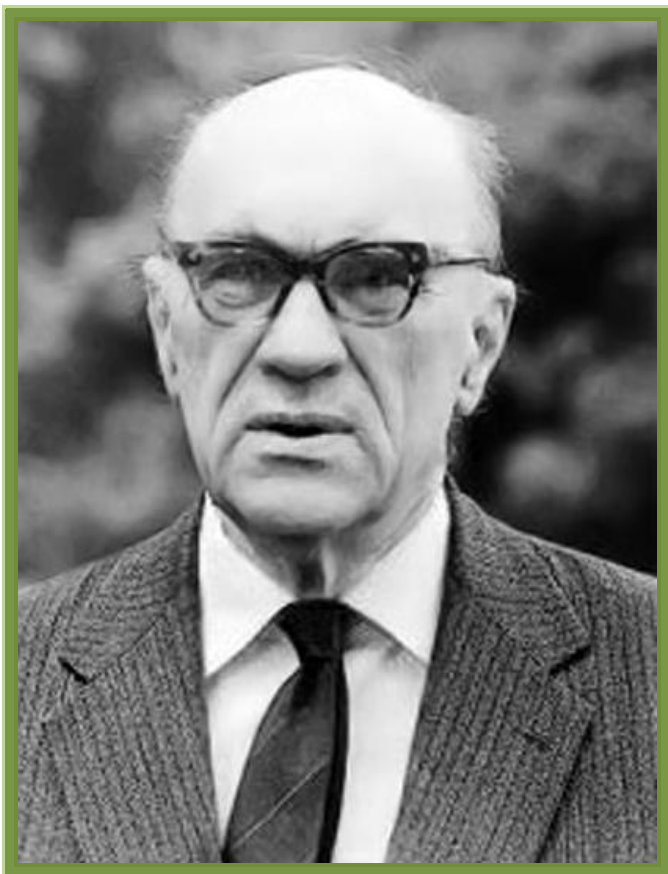
„O szyby deszcz dzwoni, deszcz dzwoni jesienny...”

Leopold Staff śnił o potędzie słuchając, jak o szyby deszcz dzwoni, deszcz dzwoni jesienny. To wędrujący wesóły pielgrzym. Przez pomrok przechodzi szybko, tak szybko, jak to przechodzi ludzkie pojęcie. Ptakom ulicznym wyśpiewywał piosnkę uliczną. Wśród gałęzi kwitnących zorganizował koncert z przedśpiewem. Potrafił rozmawiać z duszą, uczył ją, jak wiersze czytać. Lubił spacerować po polnych ścieżkach – widział wtedy bronę, siewcę, wierzbę, gęsiarkę, żurawia i koguta, słuchał śpiewu żniwiarzy. Znany ze swych nowatorskich pomysłów architektonicznych – budując zaczynał od dymu z komina. Gdyby nie rozumiał mowy ludzkiej, byłby największym poetą, więc sam tak naprawdę nie wiedział, czymże jest: prochem czy rozbitkiem wśród tego świata bez granic. I ciągle czeka listu od Ciebie, czeka na każdym miejscu i w każdej godzinie.



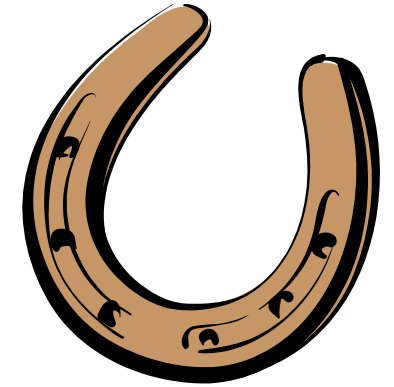
*„W malinowym chruśniaku, przed ciekawych wzrokiem
Zapodziani po głowy, przez długie godziny
Zrywaliśmy przybyłe tej nocy maliny.”*

Bolesław Leśmian przyjdzie jutro, choć nie zna godziny, być może będzie to zielona godzina. Lubił leżeć na wznak na łące, układać kabały i obserwować, jak zorza błyska do poddaszy czatowni nadchmurnej. Często odwiedzał Metafizykę – krainę, gdzie żyć łatwiej i konać mniej trudno. Podróżował z Sindbadem Żeglarzem. Na łące spotkał topielca, który zaskoczył go bezśmiechem i niedowcieleniem. W bezświcie zarośli opowiadał ballady dziadowskie i bezludne, śpiewał pieśni kalekujące. Kochał przystojność przestworza, upiory dębowe, Świdrygę i Midrygę. W malinowym chruśniaku, gdzie duszno mu było od malin, nie był wcale sam. Chętnie wybierał się na schadzki we dwoje ludzieńków. Z Kocmołuchem i Znikomkiem obserwował przez okno karczemne wiosnę. Ale czy to wszystko jest ważne? Przecież i tak inaczej by było, gdybyśmy spotkali go znowu pierwszy raz w innym sadzie i w innym lesie ...



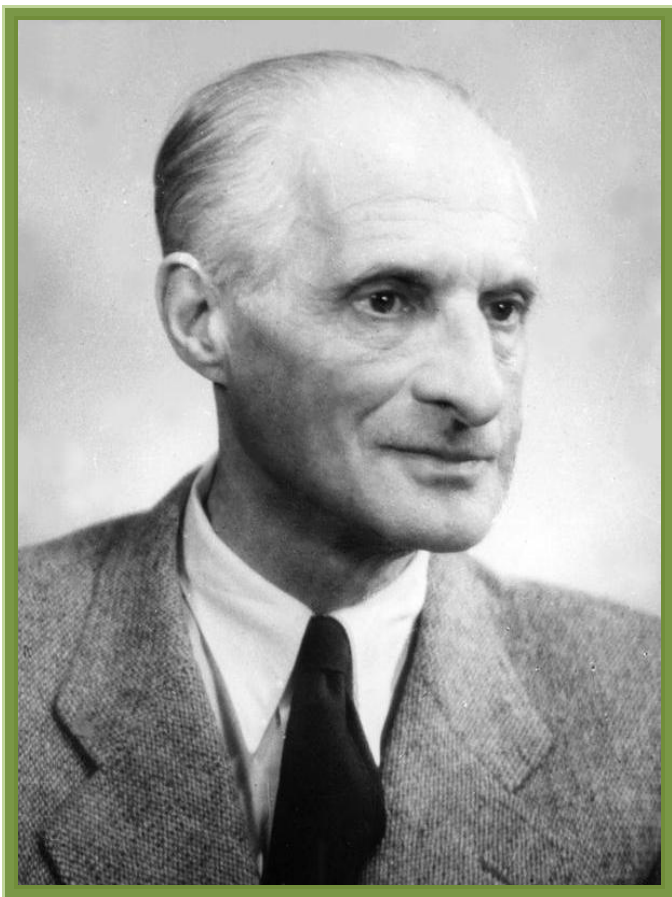
*„Jeszcze gdzieś zakwitły bzy,
jeszcze gdzieś szczekają psy,
jeszcze ktoś wyciąga ręce...”*

Jarosław Iwaszkiewicz. Ów kresowy szlachcic przyjechał do Warszawy z pereł nizanych rzędem, oktostychami zwanymi. Ujawnił w nich swoją fascynację deszczem, którego smugi jasne, smugi srebrne, smugi szklane składały mu miódopłynne peany. Z dumą stwierdzał, że zazwyczaj wstaje trzeźwy, a wtedy melancholia skłania go do wspomnień. Wspomnieniom tym niejednokrotnie towarzyszył temat słoty – poczekaj, poczekaj jak to brzmi? To tak mniej więcej brzmi: Ogrodów kolisko... Kałuże deszczowej wody... Latem 1932 r. Muzy były dlań wielce łaskawe. Znów na łonie przyrody, kiedy chłodny deszcz pada, odnajdywał świat, który zaraz zniknął. Wędrując wspinał się na szczyt Olimpu, gdzie czytał swoje ody nie tylko do młodej lipy. Kragły rok pisał smutne xenie i elegie, układając z nich włoskie śpiewniki na zasadzie „Jeszcze gdzieś zakwitły bzy, jeszcze gdzieś śpiewają dzieci, jeszcze ktoś tak rymy kleci”. Sporządził nawet mapę pogody.



"Siedem podków, bo tak mi się chciało,/ siedem podków, bo jedna za mało..."

Kazimierz Wierzyński, piewca wiosny, wina i młodości. Z uśmiechem przyznawał: „zielono mam w głowie!” Świat się dla niego kręcił, więc szumiało mu w głowie i był jak szampan. Gwizdał na wszystko i czuł się muzyką. Jej tony zmienił w pieśniach fanatycznych – słońce zapachniało nagle naftaliną. Z kufrem na plecach, dźwigając na szczęście siedem podków, przebył długą drogę i znalazł się na samym dnie. Potem już tylko ostrzegał: memento.



"Halo, halo! Tutaj ptasie radio w brzozowym gaju..."

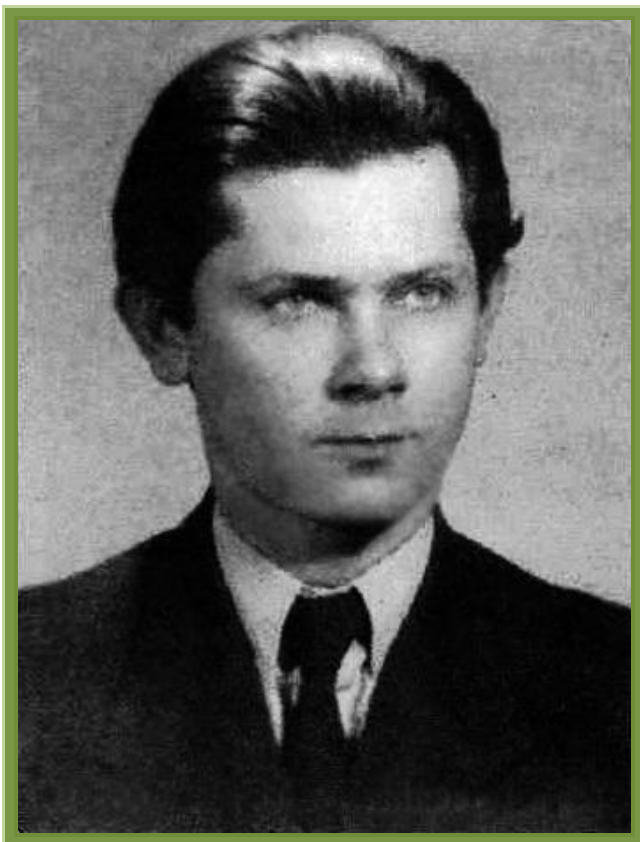
Julian Tuwim, poeta słopiewny, słowodrażny, wyrazomnawylotprzypatrny. Zawsze trafiał w sedno kulą z sześciostrzałowej, błyszczącej piosenki. Uwielbiał włóczyć się po ulicach. Uwaga! Natrętny wobec pań o czerwonych ustach. Zaczepia, proponuje herbatkę i wyjazd do Tomaszowa. Nauczyci go mnóstwa mądrości. Przed balem w operze pobierał lekcje tańca u Sokratesa. Natomiast kłać, gwizdać i pohukiwać uczył się od andrusów i dryndziarzy. Miłośnik kwiatów polskich – rwie bez opamiętania. Strasznie nie lubi mieszczan i ich mieszkań, za to przyjaźnie odnosi się do prostego człowieka. Czyha na Boga z biblią cygańską pod pachą. Plotkarz. Dla potrzeb ptasiego radia naciąga na zwierzenia panią słowikową.



„Biedroneczko leć do nieba ...”



Jan Twardowski prosił Boga, by nie pozwolił mu być pawiem spacerującym po Biblii. Specjalnie dla starych koni opracował „Rachunek dla dorosłego”. Ponieważ wszystko się pozmieniało, nie może nigdzie trafić i szuka, co było, zginęło. Okazuje się, że jedyne fotografie nie liczą się z czasem. Sam nie ma już dzisiaj czasu na nic, miał go, kiedy nie umiał jeszcze płakać i być poważnym. Nieustannie szuka dzieciństwa wiary. Zna język mrówek, ważek i biedronek. Kiedyś szukał Boga w książkach. Dzisiaj już wie, że nie trzeba Go szukać, wystarczy na niego poczekać. Wie, że jeśli Bóg jest milczeniem, zamilczeć potrzeba i, że kiedyś wszystko będzie już naprawdę, bo bez nas, a teraz wciąż potrzeba ludziom tego, co niepotrzebne. Tworzy rymowanki, siedmiowersze i westchnienia, zwłaszcza, gdy telefon milczy. Jego zdaniem, żeby zdążyć kochać ludzi i uśmiechać się do Matki Najświętszej, trzeba się pospieszyć. Lubi plotkować o świętych. A dziś ma już tylko jedną prośbę: o przeźroczyństwo, aby już tylko Boga było przez niego widać.



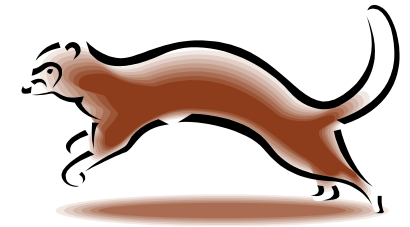
Najpiękniejsza jest Nike w momencie kiedy się waha ...

Zbigniew Herbert miał się różnych zawodów, aby móc pisać do szuflady, siedmiostrunnej deski, swe zasuszone łezki. Niczym barbarzyńca w ogrodzie dostrzegał tylko ruiny Troi, Apollo był w jego oczach jedynie zimnym i okrutnym bufonem, zaś Nike zaintrygowała go swoim wahaniem się. Wierzył w strunę światła przenikającą rzeczywistość. W związku z tym pisał do Marka Aurelego, by umniejszył swą wielkość ogromną, wobec której pozostaje człowiekowi tylko bezradny płacz. Ranga jego samego wzrosła wraz z wkroczeniem Pana Cogito. On to wprowadził istny ruch myśli do tej poezji. Roztrząsał problem cnoty, cierpienia, piekła czy odkupienia oraz własnej postawy wyprostowanej. Dopiero wtedy czuł się zdolny do wystąpienia z przesłaniem nakłaniającym do odwagi, wierności tradycji i ciągłego pochodzenia pokoleń. Zamknięty w obleżonym mieście, słał raporty o duszącym bezkształcie i potędze smaku, będącej ostatnim bastionem oporu. Uciekłszy z utopii raz eligijnie, a raz buńczucznie zmierzał do stacji Ravigo. Zasiadł tam nad życiorysem, złożył wierszowane hołdy zmarłym i żywym przyjaciółom, acz niejakiemu Chodasiewiczowi uszczypliwości nie poskapił, z pasją kpiąc sobie z jego twórczości i aspiracji. Cóż, przyjaciele odchodzą, pozostają wrogowie i martwa natura.



*„Oddzielili cie, syneczku,
od snów, co jak motyl drżą...”*

Krzysztof Kamil Baczyński. Syn dziki swego narodu, który wielkie sprawy kochał głupią miłością. Jako żołnierz, poeta, czasu kurz snuł elegie o chłopcu polskim i modlił się do Bogarodzicy. Z pokoleniem swym o twarzy wilczej czuwał w dzień, słuchał w noc i śnił na jawie. Trzymając głowę na karabinie śpiewał piosenki śnieżne żołnierza i martwe pieśni. Jednak dla swej narzeczonej niebo złote otwierał i ziemię twardą przemieniał.



„Łasica - jestem nią błyskam biało w zachwycie nad sobą”

Halina Poświatowska – ciekawa świata – pytała dnia, dlaczego srebrny wstał i uczesał obłoki; próbowała za wszelką cenę dowiedzieć się, dlaczego umarła Nina na strychu pośród mokrych prześcieradeł. W imieniu porzuconych żon przeprowadzała wywiad z żółtą Nefretete. W wieku 23 lat stała się Julią na wysokim balkonie, kobietą z upływającej wody i z liści, które drżą. Bywała też łasicą. Jej wnikliwe obserwacje dowiodły, że umarłe włosy nie tańczą, a świat jest mały, ma tylko dwa piętra. Wierzy w istnienie miłości, bo okno z doniczką pelargonii obrodziło czerwono i miłość posypała się płatkami w dół. Swym czytelnikom tłumaczyła, czym jest owa miłość i czym jest uśmiech. Pytała, dlaczego tak trudno umrzeć. Wiedziała, że śmierć to wieczny finał z tytułem i dedykacją na końcu.



„Może kiedyś, nieoczekiwanie, przyjdzie list ten. I nic się nie stanie.”

Maria Pawlikowska-Jasnorzewska z marzeń najbardziej lubiła niebieskie migdały. Osobiście znała się z Czasem, czyli kulawym krawcem, z aniołami kochania, czyli z bardzo roztargnionymi aniołami gubiącymi różowe pióra na niebie, z ptaszkiem idiotą. Potrafiła żyć bez powietrza, ale ciągle czekała na spóźniony list. Obserwatorka zakochanych nad morzem, pary kanarków, uwodzicielek i kochanek lotnika. Pamiętała, co się jej mówiło przeszłego roku. Cieszyła się, gdy zawracano jej serce, dane w olśnieniu złotem. I z czasem to serce (zwłaszcza nad ranem) miała efemerydą zasypane. Kiedy była zakochana, drżała pełna ognia. A wobec tego, kogo mogłaby pokochać.